

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Dawni Rycerze.

W żelazie chodzili od stopy do głowy,
Ich konie w żelaznem okryciu
Na boje ich niosły, turnieje i łowy,
A strój ich był równy ich życiu.

Bo życie to było i twarde i krwawe,
A głośnie, jak bitew fanfary,
Do Świętej szli Ziemi po śmierć lub po sławę
Pod krzyża białymi sztandary.

Na twierdze pogańskie po trupach się darli,
Zatknęli swój znak na wieżycy,
A kiedy spoczęli, to dłonie oparli
Na krwawych swych szabel główicy.

A jeśli wracali w obronne swe dworce,
To z blizną na piersiach lub twarzy;
Ze złotym księżycem pogąskie proporce
U pańskich składali ołtarzy.

A jeśli klęczeli, to tylko w kościołach,—
A jeśli się bali, to czarów.
Po wojnie przy wielkich dębowych swych stołach
Ze złotych pili puhałów.

Dziś mądre ich wunki z tych czasów się śmieją,
Bojowym się znojem nie trudzą
I jeżdżą wygodnie żelazną koleją
W kraj cudzy, gdy w swoim się nudzą.

I z nudów, gdy chwilę poświęcą muzeom,
To rzadkim tam dziwą się rzeczom:
Ogromnym puhałom, pancerzom, trofeom
I ciężkim prazładów swych mieczom.



Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy)

Przyszedłszy do hotelu, pan Kaliński powiedział Jasiowi, że musi wyjść po południu bez niego i niecierpliwie czekał przyjścia kapitana.

Skoro tylko tenże się zjawił, natychmiast obaj udali się do zarządu. Dzięki znajomościom kapitana, pozwolono im przeglądać książki przeznaczone do prowadzenia kontroli.

Był tam szczegółowy wykaz przypływających i odpływających z Tryestu okrętów,

Pan Kaliński przypomniał sobie, że ojciec Jasia odpłynął na okręcie zwanym „Livorno“, szukali zatem tej nazwy.

Było to długie i mozolne.

— Jest, jest Livorno! — zawołał kapitan.

— Patrz pan!

Pan Kaliński pochylił się nad księgą, aby odczytać notatkę.

„Okręt Livorno wypłynął z Tryestu dnia 12 maja roku zeszłego, udając się do Algieru, zwał po dwóch tygodniach skierował do Marsylii, ztamtąd zaś do New-Yorku, lecz w drodze powrotnej z Ameryki do Europy uległ rozbiciu i zatonięciu, skutkiem uderzenia o inny okręt, którego z powodu gęstej mgły nie dostrzeżono dość wcześnie. Z załogi uratowano niewiele osób, reszta zginęła“.

Czytając tę notatkę, pan Kaliński zbłądł jak płótno.

— Nieszczęście, nieszczęście! szeptał drżącym głosem — przeczuwałem to...

— Przecież pan mówiłeś, że pański znajomy udał się do Algieru, a nie do Ameryki — przerwał mu kapitan — w takim razie nie mamy jeszcze czego rozpaczać.

— Tak, to prawda — odrzekł pan Kaliński — ale kto mi zaręczy, czy Drzewiński nie zdecydował się jechać do Ameryki?

— To jeszcze nie dowód, że popłynął na tym samym statku i że go spotkało nieszczęście — pocieszał kapitan.

A widząc pana Kalińskiego bardzo smutnym, dodał:

— Trzeba posiedzieć dłużej w Marsylii, a kto wie, czy nie dojdiesz prawdy, co się stało z panem Drzewińskim.

— Pewnie, że tak uczynię — odpowiedział pan Kaliński z westchnieniem — nie mam po co spieszyć się tak bardzo do kraju. Tylko chciałbym wkrótce być w Berlinie — dodał — mam tam do załatwienia pewien interes.

Pan Kaliński myślał w tej chwili o Kinciu. Pożegnał serdecznie kapitana i obiecał czekać jego powrotu z Marsylii.

Pozostawszy więc na dłużej w Tryescie, pan Kaliński ułożył tak system życia, aby był czas i na naukę i na przyjemności. Rano pan Kaliński rysował i malował, lub też uczył Jasia, który w rysunkach niezłe czynił postępy, po południu zaś wyruszali zawsze za jakąś dalszą wycieczkę powozem albo łódką po morzu.

Pewnego dnia zapowiedziano jakąś uroczystość nad morzem. Miały się odbyć wyścigi na łodziach. Kilka statków oraz wybrzeże miały być oświetlone różnokolorowymi lampami. Jasio zawczasu cieszył się z tej zabawy i niecierpliwie oczekiwał wieczoru.

Wyścig łodzi miał się odbyć jeszcze przy świetle dziennem, a później dopiero miała nastąpić iluminacja.

Bilety wejścia na trybuny, urządzone na wybrzeżu, nie były zbyt drogie, to też pan Kaliński chętnie się zgodził na to, aby Jasiowi sprawić tak chciwie pożądaną przez niego przyjemność. Jaś tak się spieszył, że przybyli nad morze jeszcze zawniesze przed rozpoczęciem widowiska.

Wyścigi udały się doskonale; Jasio był zachwycony widokiem postrojonych łodzi. Gdy zmierzch zapadł i różnokolorowe lampy zabłysły dookoła, chłopczyk mówił, że jeszcze nie równie pięknego nie widział.

Wtem z hukiem i trzaskiem wyleciał w górę świetny fajerwerk; ogniste węże wydłużały się coraz bardziej, rozsypując się wreszcie w powietrzu deszczem ognistych iskier.

— Ach jakie to prześliczne! — mówił Jasio. — Chciałbym to jeszcze raz zobaczyć!

Jakby w odpowiedzi na to życzenie, zabłysnął znowu sztuczny ogień, jeszcze piękniejszy od poprzedniego. Rzeczywiście fajerwerki, odbijając się w falach morskich, sprawiały czarodziejski widok. Zabawa przeciągnęła się do późnej nocy.

Pan Kaliński, obawiając się dla Jasia zbyt długiego znużenia, oświadczył, że czas już wracać do hotelu.

Jaś miałby być ochotę zostać dłużej, ale czuł, że będzie to niepodobieństwem, gdyż upadał prawie ze znużenia.

Oczy kleiły mu się gwałtownie, tak, że z wielkim wysiłkiem walczył z ogarniającym go snem.

Pan Kaliński, widząc go tak zmęczonym, postanowił jechać do domu fiakrem, to jest dorózką. Z trudem przeciskał się przez tłum i na koniec

wydostawszy się na trochę swobodniejsze miejsce, zawołał dorózkę.

— Śladaj, Jasiu — rzekł ledwo żyjesz ze zmęczenia!

Lecz w tejże chwili Jasio krzyknął przeraźliwie, jednocześnie pan Kaliński spostrzegł, że jakiś człowiek pochwycił chłopca i wraz z nim wskoczył szybko do oczekującego powozu.

Wszystko to stało się prędzej, niż tu opisujemy.

— Wielki Boże! — zawołał pan Kaliński — znowu napaść. Jestem pewien że to nowa sztuczka Kincła!

I wskazując do dorózki, zawołał:

— Pędź za tym powozem, co koń wyskoczy, zapłacę ci, jeśli koń twój padnie.

Zachęcony obietnicą sutego napiwku, stan-gret zaciął konie i popędził galopem.

Wkrótce dogonił powóz.

— Trzymajcie rabusia, napastnika! — wołał pan Kaliński, chcąc zwrócić uwagę przechodniów na uciekający powóz.

— Stój! — zawołał ktoś z tłumu, zmuszając woźnicę do zatrzymania się.

Wskoczony z nienacka napastnik, wyskoczył szybko z powozu i zaczął uciekać. Wkrótce też, korzystając z ciemności nocy, znikł w przyległej ulicy i postawił w powozie swoją ofiarę. Pan Kaliński podążył do powozu i wydostał zeń Jasia, nampół omdlałego ze strachu.

— Ach, mój drogi opiekunie! — zawołał chłopczyk, spostrzegłszy, że znajduje się już w objęciach pana Kalińskiego — jak ja się przeraziłem. Ten Kincel!

— A więc to on był! — zawołał z oburzeniem pan Kaliński. Ha złoczyńca!

W godzinę później pan Kaliński siedział przy łóżku Jasia, gdyż chłopczyk wskutek przestachu spał niespokojnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



W noc grudniową.

(Ciąg dalszy.)

Śmiał się, jak dziecko. Białe jego zęby z pośród posiniąłych warg, oczy z pod rzęs migwały radośnie, a mróz tymczasem malował się na jego twarzy białymi plamami, szczypał, jak gad za uszy, dobijał się przez złą odzież do piersi i pleców.

Panienki umilkły. Nosy nawet pochowały, zgarbiły się, zniernuchomły. Zimno przejmowało je do kości; wicher, pomimo futerek, smała jak ogień.

Nie widziały już ani drogi, ani okolicy; przymknęły zmęczone oczy, trzęsły się chwilami. Zdaly swe losy na Danilko i Opatrzność.

Zdawało się im, że jadą strasznie długo, ale bały się wyrzec na świat i zgoła nie wiedziały, co się dzieje.

Raptem sanki stanęły.

— Co tam? — spytały, wyzierając.

Przestraszyły się. Wicher już nie górami szedł, ale nisko, jak ostrze kosarza i rwał mroźny śnieg i niósł go i kręcił i siał.

Zrobiło się tak ciemno, że tylko kontury stojącego Danilko widniały, białe, jak balwan śniegowy.

Gdzieś z boku świeciło mgliste światelko.

— Może paniuńcie do Mendela wstąpią i pogrzeją się trochę? zaproponował uprzejmie.

— To jeszcze nie Gajów?

— Gdzie! jeszcze godzina drogi!

— Jezus, Marya! A jakże to jechać, kiedy nie nie widać? Zostańmy tutaj do rana.

Zginiemy w drodze, zbłądzimy, wilki nas opadną.

— Uchowaj Boże! Toć ja drogę znam, jak ścieżkę do swojej chaty! — zaprotestował parobczak.

— Ja panienki jak w biały dzień powiozę. Dalibóg, trafię! Kruszynę się proszę nagrzać i dalej. Niedaleczko do domu, a tam z wieczerną czekają.

— Kiedy my się boimy. Taka zadymka straszna! Ale chłopcu napachniały widocznie te specjały, których tak bardzo mu się chciało zakosztować, bo się im aż do rąk pochylił.

— Jak Boga kocham, nie straszno — uspakajał. Toć do Gajowa całkiem blisko. Sośnia-czek, grobelka i ot zaraz gańskie łąki i olszynka. Żebyś ślepy był, tobyś nie zmylił. Toć i ja tą drogą i po pocztę i po mięso i po doktora do miasteczka jeżdżę, mało nie codziennie. Niech ta się paniuńcie nie boją. A toż dziś taka wieczerną

a my mamy, jak niechrysty w karczmie siedzieć? Grzech nawet i obraza boska, a przed ludźmi wstyd.

— Danilko, tobie bardziej kluski i śledzie w głowie, niż nasze i twoje własne życie! — zawołała jedna z panienek.

— A jak nas wilki opadną? — wtrąciła druga.

— Licha ich mać! Cyganów oni napastują i krawców żydowskich. Nie słyszno by kogo innego.

— No to jedźmy zresztą! — zdecydowała się starsza.

Ogrzeli się chwilę w karczmie i ruszyli, jak się zdawało bez drogi i śladu.

Zadymka szalała coraz zapalczywiej.

Minęli miasteczko i zapowiedziany sośniaczek. Widząc pewność woźnicy, panienki się uspokoiły.

Wyjechali na długą, a wąską groblę, usypaną wśród grząskich zarośli łozy, olszyny i niebotycznych badyłów nigdy niekoszonej trawy.

Wicher wściekły uderzał o nie, zarzucał śniegiem, gwizdał w obnażonych łądogach. W ha-szczu tym dzikim zdało się jednej z panienek, że ceś świeci, jak robaczki śwłetojańskie w letnie noce.

Mignęło tu, tam i zgasło.

W tem nagle konie rzuciły się raptownie w bok.

(Dokończenie nastąpi.)



LAMIGŁÓWKI.

I

Ze — Czar — Au — ca — ne — rze —
Ros — mo — A — bia — Try — cya — Jork
— No — Świ — wy — stra — lan — lia —
sya — ra — jest — szwe — dya.

- 1) Kraj graniczący z Norwegią w północnej części Europy.
- 2) Miasto wielkie portowe, leżące na południu Austrii.
- 3) Kraj, w którym się urodził Mahomet.
- 4) Kraj, którego władcą był Piotr Wielki,

5) Wielkie miasto w północnej Ameryce, leżące między Filadelfią a Bostonem.

6) Rzeka wpadająca do Dniepru.

7) Piąta część świata.

8) Morze leżące między Azją a Europą.

9) Wyspa, której stolicą jest Kopenhaga.

Początkowe litery tych wyrazów, dadzą nazwisko miasta, w którym obchodzono w bieżącym roku 600-letnią rocznicę śmierci św. Kingi.

II.

SZARADA.

Z pierwszego wyrazu szkielet się składa
Drugiego szukaj u igły; — to m ja rada
Złącz — a będzie nazwisko sławnego męża.
Co pod Dubienką Moskali zwycięża.



Rozwiązanie łamigłówek z Nr. 49.

I.

- 1) Adam.
- 2) Nora.
- 3) Iwan.
- 4) Orka.
- 5) Łowy.
- 6) Śerce.
- 7) Tama.
- 8) Rano.
- 8) Orle.
- 10) Żyr.

ANIOŁ STROŻ.

II.

Halka.
Lalka.
Walka.
Salka.

Dobre rozwiązanie łamigłówek z nr. 50 „Anioła Stróża” nadesłali Jan Szulc z Poznania, Józef Reuschel z Teresin, Paweł Gołabiewski z Morainy, Jan Gruba z Załączna, Marya Schoeder z Banina.

Dobre rozwiązanie z nr. 49 nadesłała Augustyna Jagalska z Sławorzyna.

